Nr 12. (porz. 144). Kraków, sobota d. 22. marca 1902. Rok V.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.
Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: **Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.**

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

„Człowiek to najdroższy kapitał państwa“.

(Z przemówienia Dra Danielaka w Radzie Państwa).

Przy rozprawach nad ministerstwem obrony krajowej w Radzie Państwa zabrał głos poseł Danielak. Mowę swoją zaczął po polsku dla zaznaczenia, że język polski ma takie same prawa w Austryi, jak i język niemiecki, następnie mówił poseł Danielak po niemiecku. Z mowy tej podajemy najważniejsze ustępy.

»Moloch militarny — mówił Dr Danielak — pochłania rocznie **5 razy tyle**, co pańswto łoży na oświatę ludu, na szkoły, na nauki i t. d. Oprócz tego o wiele cięższym jest dla nas podatek krwi, bo co roku 80.000 młodych ludzi odrywa się od pracy, od zajęć, od roli. Ale, gdy my już tak ogromne ponosimy ofiary, to **mamy prawo żądać, aby nasze życzenia były spełnione**, aby głosy nasze nie brzmiały, jakby na pustyni bez żadnego skutku. A niestety tak jest. Od lat dziesiątek domagamy się reformy skandalicznego procesu wojskowego, od szeregu lat domagamy się zniesienia rewersów demolacyjnych, od lat domagamy się ulg dla synów włościańskich i rękodzielników, wszystko daremnie. **Uwalnianie z wojska synów włościańskich na czas żniwa,** jest gwałtowną potrzebą ludu.

Ludność płaci miliony, ale jej życzenia i skargi pozostają bez skutku... Chcę zwrócić uwagę Wysokiej Izby na **samobójstwa** w armii austryackiej, a w szczególności na samobójstwa w garnizonach galicyjskich.

W roku 1901 w korpusie przemyskim zabiło się **80** żołnierzy i **12** oficerów, pokaleczyło się umyślnie **70** żołnierzy, zwaryowało

40 żołnierzy i **4** oficerów, stało się inwalidami **13** żołnierzy, z powodu maltretowania. Razem **219** ofiar w jednym roku. Oprócz tego **400** żołnierzy uciekło, a **725** skazano na ciężkie więzienie.

Idźmy dalej. W tym roku od 1 do 27 stycznia zabiło się 26 żołnierzy, co dzień jedno samobójstwo.

To wszystko są ofiary brutalnego, nieludzkiego dręczenia żołnierzy, i temu raz musi być koniec położony.

Oficerowie dają zły przykład żołnierzom. W ostatnich dniach zaszły wypadki strasznego dręczenia żołnierzy. Tutaj przedstawił poseł Danielak kilka wypadków, gdzie oficerowie i lekarze wojskowi tak strasznie dręczyli żołnierzy, że niejaki n. p. Swestka umarł po 3 dniach. Dr Prestik chorego żołnierza karał »szpangami«. Gdy to p. Danielak opowiadał, to posłowie którzy stali wokoło i z wielką uwagą słuchali mowy, zaczęli wołać do rządu: *To wstyd, to skandal, to hańba!*

Poseł czeski Fressel woła: Gdy minister nie potrafi w tych sprawach porządku zrobić, to powinien ustąpić! Mnie byłoby wstyd być ministrem wśród takich stosunków!

Dr Danielak mówi dalej: W przemyskim korpusie niejaki Reiselman tak jednego żołnierza niedawno urządził, że żołnierz umarł.

Poseł czeski Horzica: A co mu się za to stało?

Dr. Danielak: Nie wiem, zapytaj się pan ministra obrony krajowej.

Dr Danielak mówi dalej: Nie byłoby tyle nadużyć, gdyby za nie należycie karano. Ale posłuchajmy, jaka to bywa kara za dręczenie żołnierzy. Rezerwistę Kendrę, ojca 4-ga dzieci, który przez zapomnienie powiedział »jestem«, zamiast »hier« — wsadzono do ciężkiego więzienia na **5** miesięcy z postem, twardem łożem, kajdanami i t. d., a kapral Madarasz, który zabił żołnierza w Dolinie, dostał tylko **3** miesiące. *(Słuchajcie! słuchajcie! pfuj! Skandal! hańba!)*

Następnie opowiedział mowca wypadek, jak się na Podgórzu rzucił dragon pod koła lokomotywy i ta go na sztuki pocięła — a to z tego powodu, że żołnierza tego bili po głowie, trąbili mu do ucha i t. d. Z rozpaczy rzucił się pod pociąg.

Dalej mówił: We wrześniu 1901 przywiązano jednego rezerwistę z 9 pułku do słupa. Gdy biedak zemdlał, odwiązano go, oblano wodą, a gdy oprzytomniał, **przywiązano go znowu do słupa.** *(Słuchajcie! słuchajcie! To straszne!)* Wtedy biedny męczennik **dostał wybuchu krwi.** Przeniesiono go do szpitala, gdzie w kilka godzin **umarł.** *(Słuchajcie! Słuchajcie!)*

O takich barbarzyństwach nie można mówić spokojnie. Dlatego ja muszę podniesionym głosem imieniem moich wyborców tutaj zawołać: »My dalej tego nie ścierpiemy! My nie pozwolimy, aby siła naszego ludu torturami i dręczeniem w tak bezczelny sposób była niszczoną! (*Oklaski i brawa*).

Żądamy, aby życie i zdrowie naszych synów i braci było w wojsku chronione, jako największe dobro! Nieboszczyk cesarzewicz Rudolf powiedział, że człowiek jest największym »kapitałem państwa« Kara 6 godzin »szpangów« i 2 godzin »anbinden« (przy-

wiązanie do słupa) — to jest **największa hańba** dla państwa! Gdy poseł Danielak skończył mówić, posypały się oklaski, wszyscy zacni ludzie ściskali mu ręce, tylko klika rządowa była zła i wściekła, bo jeszcze z ł a w p o l s k i c h nigdy żaden poseł tyle prawdy rządowi nie powiedział. Minister słuchał całej mowy i nie umiał na nią odpowiedzieć. Wszystkie gazety niemieckie wydrukowały mowę posła Danielaka i stanowczo oświadczyły, że stosunki w wojsku muszą się zmienić.

Precz z obłudą!

Najprzykrzejsza prawda wypowiedziana prosto z mostu i bez żadnych ogródek jest stokroć milszą, niżeli obłudna życzliwość i faryzejskie postępowanie. Niestety żyjemy w czasach, w których obłuda i wstrętny faryzaizm wyprawiają istne orgie. Ludzie, stojący na wybitnych stanowiskach, często posługują się tymi nędznymi środkami, byle tylko dopiąć i dokonać swego. Dla zatajenia swych czarnych planów przywdziewają na siebie maskę pozornej szczerości i uczciwości, poza którą starają się ukryć swoją przewrotność najgorszego gatunku. Jakież to nizkie, jakie wstrętne, jakie ohydne. Dwa lata, jak zawiązał się komitet dla stworzenia teatru ludowego, nie z chęci marnego zysku, ale dla idei niesienia światła pomiędzy maluczkich, ubogich i wydziedziczonych, dla podniesienia poziomu kulturalnego całych mas ludu, rękodzielników i robotników. Myśl piękna i wzniosła, powitana z zapałem, odbiła się echem radości w sercach ludzi, kochających szczerze swoją ojczyznę, bo oni zrozumieli, że teatr ludowy, to jeden z potężnych czynników do podniesienia oświaty ludu, na którego barkach ma spocząć gmach wolnej, odrodzonej Polski. Z myślą utworzenia teatru ludowego, powstała w przeciwnym obozie myśl u ś m i e r c e n i a tego teatru. Komitet teatru ludowego pewny poparcia, na które mógł i powinien liczyć, zapukał tu i ówdzie, a chociaż otworzono mu drzwi i z całą go galanteryą i uprzejmością przyjęto, co więcej, unoszono się nad tym tak cudownym pomysłem, deklamowano na cześć mas ludowych, uznano konieczność zrobienia coś dla ludu, ale to wszystko było czystą komedyą, było obłudą, było faryzeizmem.

Że p. Kotarbiński, dyrektor teatru „p a ń s k i e g o“ w Krakowie, a właściwie p. Kotarbińska starają się wszelkimi sposobami utrącić teatr ludowy, to można zrozumieć, ale że np. prezydent miasta Krakowa, p. Friedlein, ma popierać tę krecią robotę przebiegłej p. Kotarbińskiej, temu się wprost nie chce wierzyć. Komitet teatru ludowego z całem zaufaniem udał się do p. prezydenta o poparcie; p. prezydent przyrzekł, że zrobi wszystko, co tylko będzie mógł w tym kierunku uczynić, a teraz miałżeby sam odegrać rolę „g r a b a r z a“ teatru ludowego? Czyżby przyrzeczenia i przekonania p. prezydenta były słabszemi od babskiej polityki i babskiego wpływu? Ale to niepodobna, i my temu nie wierzymy, bo by to ubliżało p. Friedleinowi. Gdyby jednak miało tak być, co nie daj Boże, to oświadczamy, ż e t e a t r l u d o w y ż y j e i ż y ł b ę d z i e, a w razie zamachu, potrafimy się bronić skutecznie, bo za nami staną całe masy ludu. Państwo Kotarbińscy nie mogą podołać jednemu teatrowi i scena krakowska pod ich kierownictwem coraz bardziej kuleje, niechże więc nie wyciągają ręki po drugi teatr. Na odda-

nie dyrektorstwa teatru ludowego p. Kotarbińskiemu nigdy się nie zgodzimy, bo by go w samym początku uśmiercił. Niech się p. Kotarbiński z tą myślą stara pogodzić, że dyrektorem teatru ludowego nigdy nie będzie, bo my na to nie pozwolimy. Po raz pierwszy zabieramy głos w tej sprawie i prosimy o uwzględnienie tego tam, gdzie należy. Do tego przedmiotu powrócimy jeszcze.

O chorobach zakaźnych.

Choroby zaraźliwe, a raczej zakaźne, od czasów niepamiętnych budziły zainteresowanie, głównie z powodu trwogi, jaką czarne widmo tych chorób siało zawsze w duszy ludzkiej.

Chorobami zakaźnemi zwiemy takie choroby, które przenoszą się na człowieka przez zetknięcie z innym, chorym człowiekiem, albo też przedostają się do ciała z wody lub ziemi. Takiemi chorobami są: syfilis. wścieklizna, róża, nosacizna, szkarlatyna, odra, ospa, tyfus wysypkowy, gruźlica (suchoty), malarya (febra), zapalenie płuc, reumatyzm stawowy, tyfus brzuszny, cholera, dżuma. Wszystkie te choroby przebiegają z ciężkiemi objawami, gorączką i wywołane są przez drobne żyjątka, tak zwane bakterye, które szybko rozmnażają się w ciele ludzkiem.

Choroby zakaźne posiadają pewne cechy, które pozwalają je wyróżnić z pomiędzy innych chorób. Tak n. p. trwają one zwykle pewien czas, po którym przechodzą, towarzyszy im zawsze gorączka; nawiedzają człowieka tylko raz jeden (jak n. p. syfilis. ospa, cholera, szkarlatyna) lub też usposabiają go do kilkakrotnego zapadania na tę samą chorobę, naprzykład zapalenie płuc. róża, reumatyzm stawowy.

Najważniejsze źródła zarazy chorób zakaźnych stanowią wszelkie wydzieliny nawiedzonych tą chorobą, jako to: łuszczki skórne, plwocina, krew, mocz, kał, ropa, pot i mleko. Powietrze wydechane, o ile nie zawiera cząstek plwociny, nie jest zaraźliwe. Wydzieliny te jednak mogą niepostrzeżenie dostać się na sprzęty domowe lub inne przedmioty domowego użytku i szerzyć zarazę dokoła.

Opowiadają, że pewne małżeństwo, które straciło czworo dzieci na szkarlatynę, przeniosło się z piątem dzieckiem do innej miejscowości, uchodząc stąd, poleciło ono czyścić i odkazić starannie całe mieszkanie oraz spalić całą bieliznę. Wskutek nieuwagi wszakże dwa wyścielane krzesła nie zostały w należyty sposób oczyszczone i odkażone. Po dziesięciu tygodniach rodzina wróciła do domu, a w 14 dni potem zachorowało ostatnie dziecko na szkarlatynę.

Wiadomo jest, że szkarlatyna przenosiła się za pośrednictwem listów na bardzo znaczne odległości, ba, nawet na drugą półkulę — bo do Ameryki.

Przedmioty, które osobie zdrowej łatwo mogą udzielić chorobę zakaźną, są: bielizna chorych, zużyte opatrunki, pościel, odzież, naczynia do jedzenia oraz picia, meble, ściany i posadzka. Nadto źródłem zarazy bywa woda po myciu chorych. szorowaniu podług, praniu bielizny, zawartość dołów ustępowych i kanałów (przy cholerze i tyfusie), wreszcie i wierzchnie warstwy gruntu mogą przez pewien czas przechowywać zarazki.

Powietrze czyste zarazków nie zawiera; jednakże kurz, unoszący się w powietrzu, oraz drobne kropelki plwociny, śliny i śluzu nosowego, które przy mówieniu, przy kaszlu i przy kichaniu dostają się do powietrza, mieszczą w sobie tysiące zarazków.

Wreszcie istnieje jeszcze jedno, bardzo ważne źródło zarazy; mamy tu na myśli muchy, pchły, pluskwy i komary.

Muchy już nieraz przeniosły zarazę z wydzielin chorego na chleb, na masło, ser itd., a pchły, pluskwy i komary mogą wprost przez ukąszenie przeszczepiać zarazki z krwi chorego na ludzi zdrowych. Tak szerzy się dżuma, żółta febra, tyfus plamisty, malarya i niektóre inne choroby.

We Włoszech, w tych miejscowościach, gdzie oddawna panuje malarya, zaczęto tępić gąsienice komarów i malarya zaczyna się zmniejszać.

Podczas dżumy zauważano, iż choroba ta powstać może przez ukąszenie pcheł, a mianowicie pewnego ich gatunku, który gnieździ się na szczurach padłych.

Z tego wszystkiego widzimy, że czystość jest najważniejszym środkiem ustrzeżenia się chorób zakaźnych, które najwięcej ofiar pochłaniają.

Najbardziej niebezpiecznemi są obecnie: gruźlica (suchoty), dyfteryt i ospa.

Przeciw ospie mamy skuteczny i niezawodny środek w szczepieniu ochronnem. W tych państwach, w których szczepienie ospy nie jest obowiązkowe, choroba ta zabiera mnóstwo ofiar.

Dla porównania przytoczymy tu kilka liczb: (Dokończenie nastąpi).

PORADA PRAWNA.

(O procesie cywilnym).

VI. Doręczenia. Doręczenia skarg i pism sądowych uskuteczniają się zwyczajnie przez pocztę, przez posłańców sądowych, w sądzie za zgłoszeniem się, w przypadkach nieobecności przez ogłoszenie publiczne i do rąk kuratora, osobom za granicą państwa przez władze zagraniczne i konsulaty. Doręczenie nastąpić może w pomieszkaniu, pracowni, sklepie i w miejscu spotkania, ale w ostatnim razie tylko wtedy, jeżeli strona na to się zgodzi. Poczta może doręczyć każdego czasu, posłańcowi nie wolno uskuteczniać tego w dnie świąteczne, ani w nocy, chyba że ma na to zezwolenie przełożonego sądu na piśmie. Doręczenie ustanowionemu zastępcy kilku osób, (n. p. małoletnich) i pełnomocnikowi jednej osoby lub więcej osób uważa się za doręczenie uskutecznione wszystkim tym osobom. W razie przesiedlenia się w toku procesu strony procesowej do innego okręgu sądowego, może być ustanowionym w miejscu siedziby sądu procesowego umyślny pełnomocnik do doręczeń, a musi to nastąpić w razie, jeżeli po stronie powodowej lub pozwanej występuje kilku uczestników sporu i wtedy otrzymuje tenże tyle egzemplarzy pisma procesowego, ilu uczestników zastępuje. Doręczenie przez pocztę osobie mieszkającej poza obrębem sądu I-ej

instancyi lub osobie, która w toku procesu z okręgu tegoż sądu wyprowadziła się a nowego adresu swego sądowi nie podała lub pełnomocnika do doręczeń nie ustanowiła, uważa się za dokonane, jeżeli tylko doręczenie to nastąpiło pod ostatnim wiadomym adresem choćby nawet tej osoby pod takim adresem nie odnaleziono. W innych przypadkach, sąd po bezskutecznem ustanowieniu pełnomocnika do doręczeń, uwiadomi adresata, że odtąd wszystkie dla niego przeznaczone pisma sądowe składane będą w sądzie, co uważanem będzie za rzeczywiste doręczenie. Jeżeli pisma nie można doręczyć stronie, należy doręczyć takowe znajdującemu się w mieszkaniu, warsztacie, sklepie znajdującemu się dorosłemu domownikowi, słudze, gospodarzowi lub zarządcy domu, czeladnikom i t. p. Ukrywanie się przed doręczeniem na nic się nie przyda, bo w takim razie listonosz złoży pismo na poczcie, a posłaniec u naczelnika gminy, a na drzwiach jego przybija kartkę z zawiadomieniem, że pismo tam złożonem zostało i to wystarczy za doręczenie do rąk własnych. Zwracamy uwagę na samą skargę, która ma być doręczona tylko do rąk własnych lub zastępcy pozwanego. W tym wypadku w razie niemożności doręczenia zostawi listonosz lub posłaniec u jednej z wymienionych wyżej osób kartkę lub przybija ją na drzwiach zamkniętych z zawiadomieniem, że ma doręczyć skargę i z wezwaniem adresata, żeby w pewnym oznaczonym czasie na doręczenie jej w domu czekał, a gdy to okaże się bezskutecznem, złoży w podobny sposób, jak powyżej, i to złożenie uważanem będzie za rzeczywiste doręczenie. Uszkodzenie lub urwanie wspomnianych kartek nic nie znaczy i nie może być wymówką dla strony, że jej nie widziała lub nie czytała. W podobny sposób, jak opisano, postępuje się, jeżeli ktoś nie chce przyjąć pisma sądowego.

Z tego widzimy, że przepisy o doręczeniu pism sądowych są surowe; lepiej więc przyjąć takowe, niż potem narażać się na złe skutki i bardzo możliwe przegranie procesu.

POŻARY I ZGLISZCZA

POWIEŚĆ
NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

(Ciąg dalszy).

— Wzięto Olechnę, a Czaplic zdradził! — tłómaczył się zmieszany młodzieniec — więc u was tam bezrząd! U nas tu lepiej i porządniej. Partya dziś zbiera się w Żytniarce, miejsce, w którem stoicie obozem, wyznaczone jest jako punkt połączenia obu oddziałów.

— Macie w niem pozostać i czekać natarcia, bo Moskale wysłali na nas rotę piechoty i sotnię kozaków, podczas gdy inne roty nadejdą zaledwie we wtorek. Do tego czasu...

— Dosyć! po co tyle słów! Nie zobaczy żaden z was wtorku. Powiem wodzowi, że wam kazano zginąć o południu! Wracaj pan!

masz w domu mienie i rodzinę, wracaj! Słyszycie! ot tam gdzieś bęben uderzył! to wróg zapewne, a mnie czas na stanowisko!

— Ależ panie, opierajcie się jak możecie, cofacie się z wolna o północy pomoc wam przyjdzie świeża, dla której znieść rotę to zabawka!

— Dla nas to nie zabawka walczyć dwadzieścia godzin, gdyśmy bez sił, ale niemożliwość. Wasza partya może nie przychodzić pod Krasną Choinę. Niech znosi inne roty.

Odszedł bez pożegnania.

Bęben istotnie gdzieś się rozlegał po rosie, nad okolicą panował dziwny jakiś niepokój.

Aleksander biegł prawie w stronę tego odgłosu, mówiło mu, że tam był jego orzeł w niebezpieczeństwie.

Obóz nie ruszył się z miejsca, wroga jeszcze nie było; kopano groby dla dwóch znowu, co pomarli w nocy.

Żelisławski skulony, trzęsąc się jak w febrze, siedział pod sztandarem. Wielkie łzy płynęły mu po twarzy, milczał.

— Cóż to, już nie śpiewasz, Adasiu? — zagadnął go Świda uderzając po ramieniu.

— Nie, kolego! Miałem dzisiaj w nocy taki straszny sen, że płaczę

— Cóż ci się śniło biedaku?

— Ot źle! Jakbym znowu szukał partyi po lasach i że mnie przyjąć nie chcieli. Powiedziano, żebym dymisyę brał i na pierś mi krzyżyk przypięto. Więc mnie czegoś żal ogarnął! Cisnąłem im krzyżyk pod nogi, a właśnie zagrała pobudka ranna i zbudziłem się.

Aleksander głową pokiwał.

— Dadzą nam wszystkim dymisyę dzisiaj i krzyżyk sosnowy. Rota idzie na nas, będzie gorąco o południu! Gdzie naczelnik?

— W Szałasie. Będzie gorąco? O dzięki ci, Boże! Wiesz, kolego, było mi straszno, że ot — zginę, jak tamci, swoją śmiercią, ale to przeszło! Matka, gdym odchodził, mówiła: »Do krwi ostatniej, dziecko, broń kraju! A jam jej to przysiągł, przed Panem Jezusem, w farze! Potem już jej nie widziałem, ale wiem, że ona mnie nie czeka z powrotem i nie będzie szukać po więzieniach.

Chłopak spojrzał jaśniej w górę, obejmując chorągiew ręką. Coś szeptał i mruczał do siebie, czy do orła.

Był nawpół tylko przytomny, gorączka go trawiła nieznośna, wywołana ranami, głodem i okropnem zmęczeniem. Matkę wspominał, i jak o łaskę, o bój ostatni prosił Boga.

A bój nadchodził! Złowieszczy, jak bagnety moskiewskie, ponury jak ich chorągwie, ciężki jak powietrze przed burzą! Szedł niosąc ostatni wyrok i spokój!

Czekano nań długie, długie godziny; do zachodu się chyliło, gdy garstka bohaterów ujrzała na błoniu zbity szyk bojowy, oskrzydlony kozakami. Nie było tu już grobli wśród bagnisk. Okolica piaszczysta z trzech stron, a z jednej klin boru, zakończony gromadą niebotycznych sosen, oto pozycya walki.

Pod ostatnią z sosen stanęli do boju Polacy. W oddziale panowała taka cisza, że słychać było brzęczenie pszczół w barci nad

ich głowami i stukanie dzięciołów w lesie. Stali jak mur, z palcem na cynglu broni, wpatrzeni we wroga, czekając rozkazu.

Aleksander z chorążym byli obok siebie. Żelisławski w rozpiętej kurcie, z pod której wyglądał siny skaplerz, dar matczyny zapewne, urósł, zda się. Z oczu żar mu bił, twarz zmieniła się wzruszeniem, wiatr roztargał włos płowy, zabarwił krwią chude policzki. Dyszał i drżał.

Ciemna twarz Świdy była ponura i spokojna. Nie było znać na niej ani żalu, ani strachu, ani zapału, żadnego z uczuć, co świeciły na obliczach kolegów. Sparty na broni, zpod brwi śledził ruchy Moskali. Myśl jego daleko była od życia lub śmierci, od tego pola, gdzie spocznie na wieki za chwilę, od idei narodowej, od całej sprawy, której tak bez granic się poświęcił! On myślą był w cudownym kościółku, on nie słyszał nic, tylko głos swojej Władki: »Gdy zginiesz pan, to pamięcią waszą żyć będę, jak wdowa i sierota!« Po rysach jego migał chwilami uśmiech słaby, łagodząc ostre cienie i surowość twarzy, i znowu patrzał bystro na złowrogą linię bagnetów, nadchodzącą jak fala...

— Pal! — rozległ się nagle głos Kazimierza tuż za nim.

Gromadka stanęła w ogniu i dymie. Dwieście kul wpadło w środek roty, nabijano, nie czekając rozkazu.

Moskale nie przestając pochodu dali salwę, jak grad sypnęły naboje. Kilkunastu opuściło broń, zsunęło się na trawę.

Wróg naciskał, okrążał, otaczał powstańców okropną obręczą, pełną dymu, ognia, śmierci. Kozacy obskoczyli ze wszech stron, musiano strzelać we wszystkich kierunkach.

A piechota była coraz bliżej. Już wyraźnie widać było zwierzęce twarze żołdaków, galony oficerów i bagnety błyszczące, świeżo polerowane, chciwe krwi.

Oddział malał, ściskał się około pnia sośniny, komendę głuszył jęk konających.

Jeszcze sto kroków, jeszcze piędziesiąt! Nowa salwa zmięszana z przeciągłem »hurrah!«. Kilka kul gwizdnęło obok Aleksandra, przed nim zaczerniał las bagnetów.

— Pal! kolego! — wyszeptał mu nad uchem Żelisławski — pal! o Boże!...

Urwał, podskoczył, otworzył usta, kula go tknęła. Chwilę jedną ręką trzymając sztandar, a drugą ranę kryjąc, stał jeszcze, otwierając szeroko sine oczy. Wtem zbielał aż do warg, zatrząsł się, zatoczył, chwycił powietrze parę razy, puścił ranę, ręką szukając oparcia, strumień krwi barwił mu koszulę.

— Kolego! — wybełkotał rozpacznie — a oczy zachodziły mu bielmem... konał, ale drzewiec trzymał kurczowo w stygnącej dłoni.

Aleksandar poderwał go z ziemi. W około szalały kule, oślepiał proch, bagnety dochodziły prawie piersi.

— Co ci! — krzyknął Świda — rzucając broń. Żal mu było chłopaka jak brata.

— Trzymaj... masz... mój ptak! Och matko... boli!

Roztworzył ręce, oczy stanęły słupem, krew wybiegła na wargi, drzewiec się pochylił, chorąży nie żył.

Świda porwał sztandar, chłopaka na ziemi złożył, obejrzał się, ogłuszony hukiem, oślepiony dymem.

Piechota dała nową salwę, ostatnią, spuściła karabiny, błyszczącem ostrzem dotykała rozbitków.

— Hej bracia, do chorągwi! — krzyknął Kazimierz.

Kilkadziesiąt niedobitków poskoczyło na komendę.

Za późno! Biały ptak Władki zachwiał się znowu, na ziemię pochylił, wzdłuż drzewca, z głową na purpurze legł Aleksander trafiony śmiertelnie. Jak zraniony tur chciał się porwać, nie zdołał, dwóch kolegów go przytłoczyło, jeden z roztrzaskaną czaszką, ani jęknął, drugi lżej ranny, wił się w ostatnich kurczach.

— Ratujcie znak! — zawołał Kazimierz.

Nie zdołano usłuchać. Ostrza bagnetów poczerwieniały krwią, piechury wdzierali się na trupy, brodzili w posoce, kłując niemiłosiernie.

— Hurrah, hurrah, hurrah!

Kazimierz dobył szabli, ale w tejże chwili kilku kozaków rzuciło się nań z tyłu, zwaliło na ziemię, skrępowało w mgnieniu oka. Uprowadzili go na bok.

— Hurrah, hurrah, hurrah! — przed bagnetem moskiewskim zabrakło ofiar.

— Stój! — zakomenderowali oficerowie.

Żołnierze opuścili broń, otarli twarze z potu i sadzy, rozejrzeli się obojętnie po placu boju.

Gromada trupów, połamana broń, puste torby od nabojów, czarne kałuże po ziemi, pozrywane gałęzie, a nad tem siwy dym, swąd spalenizny i nieokreślona, dusząca woń świeżej krwi.

Kozacy już plądrowali po obozie, oficerowie otoczyli skrępowanego naczelnika.

— Gdzie kasa? szeptano w szeregach wojska — czy nam tu pohulać nie dadzą?

I oczy żołdactwa szły chciwie po trupach i obozie. Nagle spieniony łeb koński wynurzył się z gęstwiny, ordynans to był zakurzony, spotniały, czerwony jak upiór.

— Cofać się do wsi, natychmiast! — krzyknął — podając majorowi pismo pułkownika.

— A to dlaczego?

— Tysiąc Lachów tu idzie. Nie dacie im rady dzisiaj. Wracajcie z jeńcami!

Zawrócił konia i pognał z powrotem. (Ciąg dalszy nastąpi).

KLĘSKA ANGLII.

Trzeci rok trwa bohaterski bój garstki wolnego narodu Boerów z najazdem Anglii. Światowładna, wszechpotężna Anglia rzuciła 160.tysięczną armię doborowego żołnierza, 20.000 koni zakupionych w Europie po bajecznych cenach, miliardy franków do Afryki.

Boerowie liczyli razem z żonami i dziećmi mniej ludzi, niż Anglia wysłała żołnierzy-najmitów. Bronił się dzielnie naród wolny, rok, drugi — szli w grób, jak w łóżko, bohaterowie wolnego i niepodległego ludu, w obronie swej ojczyzny, w obronie swej ziemi, swego domu, swych rodzin i swych dzieci.

100.000 zabitych i rannych zostawiła Anglia na polach afrykańskich, najęła drugich sto tysięcy, kupiła nowe remonty w Europie, zapłaciła nowych najmitów zaciężnych, walczących w imię kopalni złota i dyamentów.

Minął rok, dwa, rozpoczął się trzeci, walka nie tylko nie ustaje, lecz wre z zdwojoną siłą; Anglicy rzucają miliony i miliardy, tracą tysiące oficerów i dziesiątki tysięcy wojennego żołdactwa, ich generalissimus, lord Kiczener, przechwala się w swych depeszach do urzędu wojennego w Londynie, że już wytłukł nieprzyjaciół do szczętu, aż tu z pod ziemi wstają nowe zastępy bohaterskiego ludu i nowe klęski zadają potędze angielskiej. Z zdumieniem Europa, z przerażeniem przyjęła Anglia ostatnie wiadomości z pola walki w Afryce.

Lord M e t h u e n, ulubieniec króla i arystokracyi angielskiej, pogromca Beczuanów w Afryce, Afrydów w Indyach, ów świetny żołnierz-rycerz, ten sam lord Methuen, który tak szczęśliwie walczył na tylu polach bitw w różnych częściach świata, lord Methuen w niewoli Boerów. O tej klęsce Anglików tak pisze jeden z redaktorów, który się znajduje na placu wojny w Afryce:

*
* *

Siła zbrojna angielska składała się z batalionu fizylierów — 230 ludzi; piątego batalionu cesarskich — 280 ludzi, 60 kawalerzystów, 24 altylerzystów, dwóch armat polnych, trzech dział Maksima i jednej armaty pomponowej.

W poniedziałek wieczorem przeszła cała kolumna rzekę Ysterspruit, rozbijając następnie nad jej brzegami obóz w odległości dwóch mil od Klerksdorpu. Po drodze nigdzie nie widziano Boerów. Wieczorem jednak oddziały boerskie zaczęły pojawiać się na horyzoncie. Były to poszczególne komendy, które według wskazówek Delarey'a generała Boerów zajmowały tu rozmaite stanowiska, aby wykonać skombinowany atak na Anglików. Rozpoczęli od lekkiego szturmu na linię blokhauzów, pod których osłoną pasło się bydło. Atak ten odparto z łatwością, natomiast drugiego prawdziwego ataku na konwój odeprzeć już nie zdołano.

Kolumna angielska leżała w kącie. O sześćset kroków od drogi znajduje się gęstwina, w której, jak się później okazało, może się schować 500 kawalerzystów. Stanowisko to zajęli Boerzy i stąd wykonali pierwszy atak.

We wtorek o godzinie pół do piątej rano, kiedy jeszcze było ciemno, ruszyła kolumna angielska w dalszą drogę. Kiedy wpół godziny potem czoło oddziału wozów znalazło się w gęstwinie, zagrzmiała z pomiędzy drzew pierwsza salwa karabinowa Boerów, robiąc ogromne spustoszenie w szeregach angielskich. W pierwszej

chwili nie można się było zoryentować, skąd zagraża nieprzyjaciel, powstała zamieszka, z której Boerowie doskonale skorzystali, zasypując Anglików gradem kul. Dzień już był na polu zupełny, kiedy Anglicy ustawili swoje działa i zasypali szkapelami gęstwinę. Działo pomponowe i trzy armaty Maksina zaczęły także grać, a straże flankowe, rzuciwszy się na ziemię, rozpoczęły silny ogień rotowy. Boerowie po całogodzinnej walce zaprzestali ognia i pozornie cofnęli się, korzystając z gęstwiny jako okrycia tyłów. Ponieważ wobec tego bitwę można było uważać za skończoną, pułkownik Aderson, dowodzący całą siłą angielską, dał rozkaz majorowi, aby się cofnął i objął straż tylną. Na placu boju zapanowała cisza przerywana tylko gdzieniegdzie jakim pojedynczym wystrzałem.

Zaledwie jednak wozy w dalszą ruszyły drogę, Boerowie przypuścili drugi atak, przegalopowawszy na lewe skrzydło angielskie. Szarża ta była wykonana z niesłychaną brawurą i zuchwałością. Niektórzy z Boerów zbliżali się do linii angielskich, paląc w szalonym galopie z karabinów.

Kolumna angielska popadła w zamieszanie, a muły spłoszyły się wskutek piekielnego hałasu i okropnego gwizdu kul. Wozy z szaloną szybkością puściły się ku rzece, rozbijając się po drodze na drzazgi.

Tymczasem udało się Anglikom i ten drugi atak odeprzeć. Nastąpiła druga pauza, w której resztki trenu otrzymały rozkaz do dalszego pochodu. W tej chwili jednak po raz trzeci napadli Boerowie na Anglików. Była to już odwaga, granicząca z niepojętem szaleństwem. Oddziały Boerów sforowały się odrazu z trzech stron w kolumnę angielską, niosąc ze sobą popłoch i zamięszanie.

Działa angielskie zajęły znowu pozycye, wozy ustawiono po lewej stronie w pięć rzędów, ze wszystkich stron sypnięto na Boerów piekielnym ogniem, lecz oni nie powstrzymani parli dalej i dalej. Szanse Anglików spadały z każdą sekundą, tem bardziej, że muły, których odbiegli ich woźnice, spłoszyły się ostatecznie i rozbijały angielskie szyki. Przez dwie godziny walka szalała na całej linii, poczem Anglicy rozbici i wyczerpani, stanęli już zupełnie bezradni. Boerowie przegalopowali przed zniszczonym frontem angielskim, strzelając do każdego, kto jeszcze miał broń w ręce, aż dotarli w ten sposób do armat, przy których stali już bezbronni artylerzyści.

Najdłużej wytrzymali fizylierzy, którzy odcięci na początku, przebili się przez szeregi Boerów, a potem rzucili się na nich z bagnetami w ręku. Opór ich jednak wobec niesłychanego impetu Boerów nie potrwał długo, tak, że o godzinie siódmej rano nie było już ani mowy o żadnej obronie. Trupy i ranni leżeli na polu bitwy, a poszalałe ze strachu konie i muły dopełniały obrazu nieopisanej okropności. Dopiero generał Delarey zjawiwszy się na placu, zarządził uprzątnięcie trupów i przeniesienie rannych w odpowiedniejsze miejsce.

Padło bardzo wielu Anglików. Zabrali im Boerowie wszystkie

armaty i samego naczelnego wodza, generała Metuena do niewoli. Boerowie chcąc jednak pokazać swoją wspaniałomyślność puścili Metuena na wolność.

Krzywdy i nadużycia.

Limanowa. Uwięziono tam Władysława Dobrowolskiego, urzędnika Kasy zaliczkowej limanowskiej i właściciela handlu korzennego, pod zarzutem zbrodni podpalenia i oszustwa. Miał on sfałszować mnóstwo weksli i eskontować je w bankach, a posiadając na składzie towary zaasekurowane, wzięte na kredyt, podpalił je w celu podniesienia premii asekuracyjnej. Ogień jednak ugaszono. Żandarmerya odstawiła Dobrowolskiego do więzienia śledczego w Nowym Sączu.

Ładne rzeczy dzieją się w tej Limanowej — tu złodziej, tam podpalacz, tam pijak i oszust, tu znowu łapownik, a »góra« chora na głowę i wyschnięcie mózgu i t. d. i t. d. — i to się nazywa miasto powiatowe w zachodniej (!) Galicyi. Niechno tylko władze sądeckie energicznie wezmą się do dzieła, niech różnych przycisną do muru, a przy sprawie Dobrowolskiego różne łajdactwa wyjdą na wierzch. Dużo wiedzieć powinni ci, co tam ciągle przesiadywali. Jeszcze nie skończono z oszustwami w Starostwie, już jest sprawa podpaleń i kradzieży.

Bezpłatne premium

dla Czytelników „Obrony ludu“. **Każdy** Czytelnik „Obrony ludu“, który **z góry** zapłaci prenumeratę **za cały rok 2 złr.**, otrzyma zupełnie darmo **duży kalendarz z 50 obrazkami,** zawierający powieści, opowiadania, rady gospodarskie, imiona świętych w całym roku 1902 i t. d. Kalendarz jest pięknie oprawny, wielkiego formatu.

Każdy, kto przesyła **2 złr.** na „Obronę ludu“, niech zarazem dołączy **10 centów** na opłacenie poczty za kalendarz. Razem więc przysłać należy przekazem pocztowym 2 złr. 10 ct. (4 korony 20 hal.).

Pieniądze nadsyłać należy pod adresem: **Administracya „Obrony ludu“ w Krakowie, ulica Pijarska l. 2.**

Każdy, kto prześle **2 złr. 10 ct. zaraz,** otrzyma kalendarz i będzie otrzymywał regularnie gazetę co tygodnia przez cały rok.

Oprócz kalendarza otrzyma w ciągu roku każdy nasz Czytelnik **dużą kolorową mapę Polski.**

Administracya.

Kronika i rozmaitości.

Deputacya. W ubiegły poniedziałek d. 10 b. m. udało się kilku włościan z Morawicy wraz z swym posłem Ks. Szpondrem do p. delegata. Federowicza.

Życzeniem deputacyi było, by cofnąć zarządzenie wybicia wszystkich świń w Morawicy. P. delegat okazał się nader uprzejmym i przychylnym dla włościan, a dowiedziawszy się o co się rozchodzi, wyraził im swoje współczucie, a zarazem żal, że cofnąć zarządzenie nie jest w jego mocy, bo by to było wbrew obowiązującej ustawie. Natomiast przyrzekł poczynić wszelkie możliwe ulgi i ułatwienia i że dołoży starań, aby włościanie mogli otrzymać zaraz wynagrodzenie za zabite sztuki. Czy mu się to jednak uda, stanowczo przyrzec nie może, gdyż to nie od niego wyłącznie zależy. Jakkolwiek życzeniom deputacyi p. delegat zadość nie uczynił, bo nie mógł, to jednak pełne życzliwości zachowanie się jego wywarło na włościanach jak najlepsze wrażenie.

Dnia 14 b. m. zwołał znów p. Delegat wszystkich wójtów z pow. krakowskiego w celu pouczenia ich o obowiązującej ustawie, odnoszącej się do zarazy nierogacizny a zarazem przedstawił im nader smutne następstwa w razie tajenia zarazy lub opierania się wykonaniu tej ustawy. Przy tej sposobności zabrał głos p. Ptak z Bieńczyc i przedstawił p. Delegatowi, aby gospodarze, których świnie skazane są na zabicie, mogli nabywać przy licytacyi te świnie, chociażby zaraz pieniędzy nie złożyli, i żeby sobie rząd odciągnął te pieniądze z tej sumy, jaką przyzna za zabite sztuki. P. Delegat przychylił się do tego przedstawienia. Zatem kto będzie chciał swoją sztukę zabitą odkupić, będzie mógł, chociażby pieniędzy nie miał. Lud krakowskiego powiatu z dotychczasowego postępowania p. Delegata pełnego życzliwości i wyrozumiałości jest zupełnie zadowolony. Daj Boże, by tak dalej było a p. Delegat zaskarbi sobie wdzięczność i uznanie ludu, co jest największą nagrodą dla urzędnika.

Wprost do wiary niepodobne. *Prawda* lwowska w numerze 12 z 16 marca przynosi ze Sącza następującą wiadomość, którą podajemy dosłownie:

„Dnia 3. b. m. spotkał w Nowym Sączu Pasiak, idąc z swym 5-letnim synkiem, ks. dra Aloizego Góralika, pocałował go w rękę, za co otrzymał silny policzek od ks., że biedny chłopiec upadł na ziemię i potoczył się do rynsztoku...

„Fakt ten jest tak gałgański, iż nie mamy słów na wyrażenie oburzenia. Za to, iż dziecko z ufnością zbliżyło się do niego, otrzymało w nagrodę policzek.

„Z tego widać, że nie zawsze sprawdza się przysłowie: „Pokorne cielę dwie matki ssie".

Wprost wierzyć się nie chce, ażeby to było możliwem. Zapewne ks. Góralik zechce wyjaśnić sprawę, a prawdopodobnie wmięsza się w tę sprawę także ks. biskup tarnowski, bo jeżeli to nie jest prawdą, to to nie powinno przyschnąć, a jeżeli jest prawdą, to także coś należy uczynić.

Samobójstwa w wojsku. Okropny wypadek samobójstwa wydarzył się w Nowym Sączu. Żołnierz 9 kompanii 32 pułku piechoty obrony kraj., którego zwłoki znaleziono dopiero w szóstym dniu po samobójstwie, nazywał się on Józef Paciorek, rodem z Muszyny, który nie mogąc podołać obowiązkom służby wojskowej, dezerterował już nawet raz, a we środę 5 marca, pełniąc służbę przed magazynem przy koszarach wojskowych, od godziny 4 do 6 rano, nagle znikł, udając się na klasztor Niepokalalanek w Nowym Sączu i tam między drzewami przy olszynie, oparłszy się, odebrał sobie życie wystrzałem z karabinu.

Przez cały czas, nim zwłoki tegoż znaleziono, sądzono, że znów zdezerterował. W tej samej pozycyi, w jakiej sobie życie odebrał, znalazły go dzieci bawiące się tam i dały znać o tem policyi, a ta znów władzy wojskowej.

Każdy wypadek samobójstwa w wojsku, jak również każde okaleczenie

będziemy obecnie skrupulatnie notowali — a naszych czytelników i przyjaciół prosimy, aby o każdym wypadku donosili posłowi Drowi Danielakowi.

Największa lokomotywa na świecie jest w Ameryce. Maszyna ta jest 6 metrów wysoka, razem z tendrem 24 metrów długa, a waży 145·600 kilogramów. Palenisko ma wielkość małego przedpokoju. Lokomotywa ta, przeznaczona dla transportu zboża, może ciągnąć przeszło 500 przeładowanych wozów. Gdyby pociąg taki naprawdę ustawiono, długość jego wyniosłaby około trzech kilometrów, a możnaby nim przewieść zbiór zboża z 5.000 hektarów pola.

Napad rozbójników na księdza. Ks. Wojciech Nowicki, dawny proboszcz parafii Wilki w powiecie kowieńskim, pod zaborem moskiewskim, mieszkający na emeryturze w miasteczku Wilki, padł ofiarą zbrojnego napadu na jego domek, stojący na uboczu. Złoczyńcy, w liczbie pięciu, nałożywszy na twarz czarne maski ceratowe, wysadzili drzwi od kuchni i tą drogą dostali się do wnętrza domu. W kuchni rzucili się najpierw na śpiącą kucharkę, zakneblowali jej usta i skrępowali sznurami. Rabusie sprawowali się tak cicho, iż nic nie słyszeli śpiący w dalszych pokojach gospodyni księdza i sam ksiądz Nowicki. Następnie złoczyńcy rozdzielili się na dwie partye, jedna weszła z chałasem do pokoju księdza, druga zaś do pokoju gospodyni i tam rzucili się na swe ofiary, bijąc je niemiłosiernie i domagając się wskazania, gdzie znajdują się ukryte pieniądze. Pomimo bicia i gróźb zamordowania, ofiary napaści nie chciały wskazać miejsca, gdzie pieniądze są schowane, zakneblowali więc im usta i dopóty bili po głowie, aż nieszczęśliwi stracili zupełnie przytomność. Załatwiwszy się z niemi w ten sposób, poczęli plądrować po mieszkaniu, szafach, komodach i kufrach i znalazłszy w jednej z szuflad list zastawny księdza na 1000 rubli, dalej 200 rubli gotówką, krzyż srebrny, złoty pierścień i złotą broszkę, uciekli tą samą drogą, jaką weszli. Nad ranem pierwszy do przytomności przyszedł ksiądz Nowicki i wszczął alarm. Przybyła policya znalazła jeszcze obie kobiety skrępowane i nieprzytomne. Zarządzone oględziny mieszkania wykazały, iż rabusie pozostawili na miejscu zbrodni dwie maski i fotografię Jana Szwoynickiego, byłego kleryka. Ks. Nowicki oświadczył, iż pomiędzy rabusiami poznał, pomimo masek, niejakiego Korsakowicza, osobistość bardzo podejrzanego prowadzenia się i Szwoynickiego. Obu ptaszków policya nazajutrz aresztowała.

Życie domowe Leona XIII. Około północy zmniejsza się ruch w mieście, a w pobliżu bazyliki Watykańskiej nikogo już prawie nie widać. Szwajcar, odźwierny, zamknął już spiżowe bramy świętego pałacu i zasunąwszy szczelnie wrzeciądze, w milczeniu stoi wewnątrz na straży. Wszystkie okna ciemne, tylko jedno na górnem piętrze rozbłyska jeszcze światłem. To pokój papieża. Najwierniejszy sługa, pozostający od lat wielu w służbie, odszedł już, aby się udać na spoczynek. Starzec podeszły wiekiem siedzi sam w pokoju, gdzie zwykł oddawać się pracy i długo w noc pisać.

Nadczem pracował? Przeważną część nocnej pracy stanowiły sprawy całego świata katolickiego. Potem udaje się do sypialni i tam jak dziecko, zanosi do Boga modły. Następnie powstaje, idzie wolno ku oknu, podnosi prawicę, i błogosławi wybranemu, uśpionemu miastu.

Dzwony spiżowe ogłaszają siódmą godzinę. Zaufany pokojowiec już czeka przed drzwiami i gdy papież otwiera drzwi wewnętrzne, on również otwiera zewnętrzne. Pomaga papieżowi przy ubieraniu się, poczem papież, ubrany w białą togę, z pięknym krzyżem, przechodzi powoli, z pomocą służącego, do najblższej kaplicy.

Przed ołtarzem upada na kolana i odmawia zwykłe modlitwy. Następnie,

na skinienie papieża, zbliżają się trzej szambelanowie, którzy wdziewają na niego uroczyste szaty mszalne.

Dopełniwszy świętego obrządku, schodzi z najwyższch stopni ołtarza, uklęka i modli się dalej, podczas gdy inny kapłan mszę św. odprawia.

Z uderzeniem godziny dziewiątej, Ojciec Sw. przechodzi do pokojów mieszkalnych, a skoro spożyje skromne śniadanie, zbliża się do niego kardynał, kierujący sprawami publicznemi i zdaje sprawę z rozmaitych wypadków dnia, poczem według kolei przychodzą inni przełożeni.

Często też oczekują na niego wierni, przybywający licznie ze wszech stron. Wtedy papież przyjmuje ich w sali bibliotecznej i pochylony nad ogromnem stołem, przemawia do nich w krótkich słowach, a potem każdego z osobna wypytuje o kraj ojczysty, o imię i nazwisko, o stosunki, a wreszcie błogosławi. Jeżeli wśród obecnych znajdują się dzieci, pieści je czule.

Jeżeli kogoś raz widział, to poznaje go nawet po wielu latach, nazywa po imieniu i pamięta, skąd pochodzi.

Załatwiwszy to wszystko, powraca do mieszkania i oddaje się codziennym zajęciom. W sali, gdzie pracuje, na ogromnym stole stoi zegar, kałamarz, leżą pióra, papier, książki i tabakierka, napełniona najlepszą tabaką, którą papież zażywa chwilami.

Usiada Leon XIII. i przegląda na nowo papiery, które napisał ubiegłej nocy.

W południe papież spożywa obiad nie obfity, ani wytrawny, bo składający się zwykle z jaj i masła. Po obiedzie papież udaje się do ogrodów watykańskich, albo do pałacyku zamiejskiego.

Tutaj obchodzi winnice, zasadzone z jego polecenia, ogród z różami, a wreszcie napawa się swobodnem i czystem powietrzem pól i gajów.

Z targów zbożowych. Kraków, dnia 18 marca. Płacono za 100 kilogr. netto Pszenica od 19·— do 20·—; — Żyto od 14·90 do 15·60; — Jęczmień od 13.20 do 14·40; — Owies z opłatą akcyzową od 15·80 do 16·50; — Groch od 18·—· do 26·—; — Tatarka od 14·— do 18·—; — Proso od 10·— do 11·50; — Fasola od 14·— do 16·— ; — Jagły od 18·— do 24·—; Siano od —·— do 6·—; — Słoma od —·— do 4·40; — Koniczyna na paszę od —·— do 6·80; — Ziemniaki za hektolitr od 3·20 do 4·—; — Jaja za kopę od 2.50 do 3.—; — Masła za garniec od 7·30 do 8·50. Wszystko liczono w koronach.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Ładoński. Te numera są już wyczerpane.

P. Sz. Podg. Prenumerata za cały rok wyrównana. Kalendarz wysłano.

P. Klecza. Prenumerować może kto chce, czytać również, ale nikogo nie można zmusić. Tylko Bóg może wszystko, człowiek wiele razy chce coś zrobić, a nie może. Zresztą nie wiemy, o co wam chodzi.

P. Błaż. Kalendarza powszechnego przysłać nie możemy. Kosztuje on 80 centów. —

P. Łach. Wydrukujemy w następnym numerze.

Tym, którzy dotąd na swoje listy nie otrzymali odpowiedzi, donosimy, że otrzymają ją podczas świąt. Tyle mamy zajęcia i listów przychodzi tak dużo, że nie sposób odrazu na wszystkie odpisać.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawca: **Franciszek Ptak.** — Redaktor naczelny: **Dr. Michał Danielak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Ks. Andrzej Szponder.** — Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.